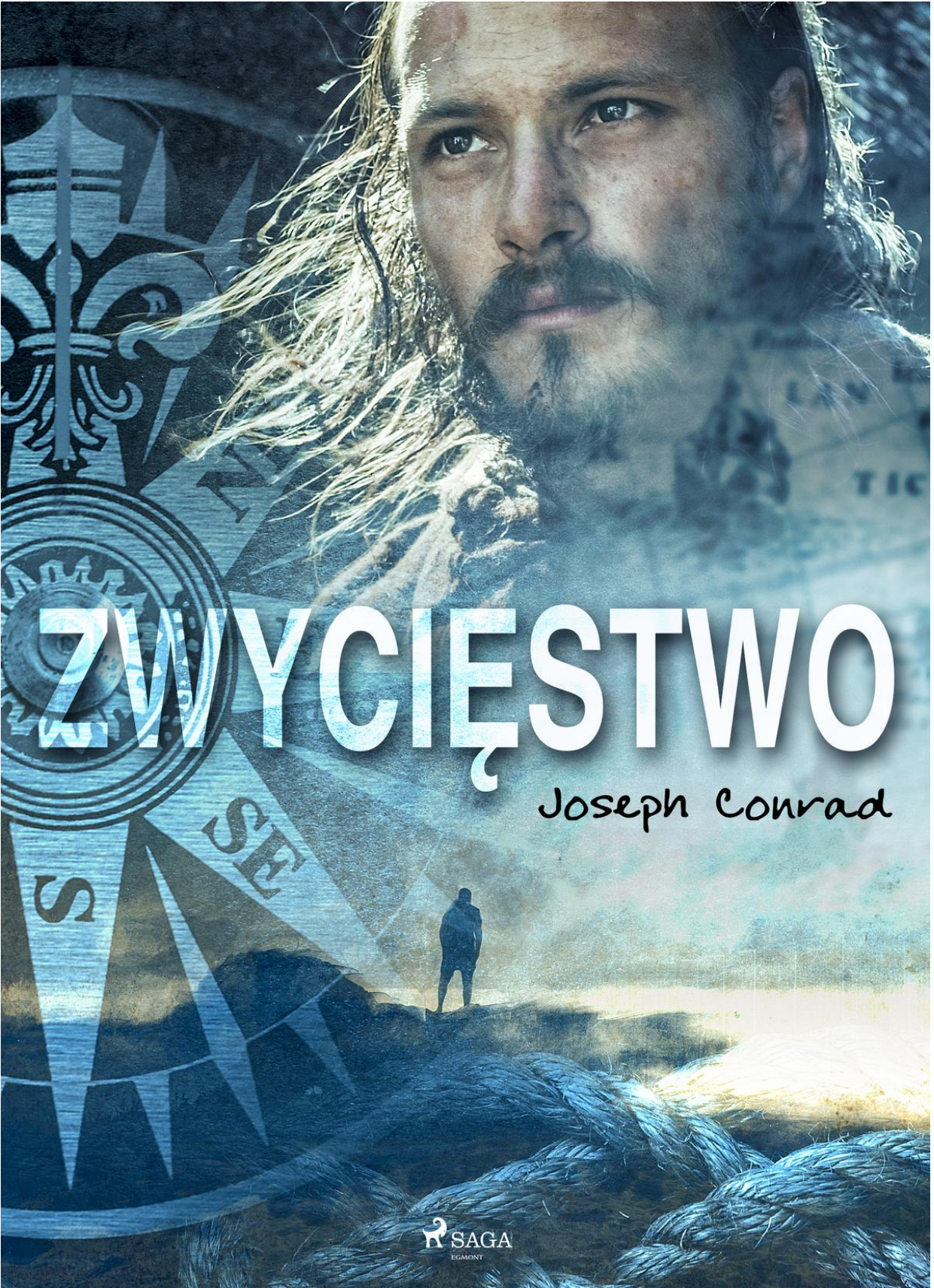


# ZWYCIĘSTWO

Joseph Conrad



# ZWYCIĘSTWO

Joseph Conrad

 SAGA  
EGMONT

Joseph Conrad

# Zwycięstwo

Saga

*Zwycięstwo*  
przełożyła  
Aniela Zagórska  
tytuł oryginału  
*Victory*

Copyright © 1915, 2019 Joseph Conrad i SAGA Egmont  
Wszystkie prawa zastrzeżone  
ISBN: 9788726049749

1. Wydanie w formie e-booka, 2019  
Format: EPUB 2.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów  
innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą SAGA  
Egmont oraz autora.

SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

# Tom pierwszy

*„Zwołując cienie, wabiąc straszliwe zjawy  
i bezcielesne usta, głoszące ludzkie imiona  
wśród piasków, i na wybrzeżach, i w dzikiej  
głuszy”*

Comus  
PERCEVALOWI I MAISIE GIBBON

## Przedmowa do pierwszego wydania

Ostatnie słowo tej powieści zostało napisane 29 maja 1914 roku. Tym ostatnim słowem był pojedynczy wyraz, a mianowicie tytuł.

Działo się to w czasach pokoju. Teraz, gdy zbliża się chwila wydania książki, przyszło mi na myśl, czy nie należałoby zmienić tytułu. Słowo: zwycięstwo, wspaniały i tragiczny cel szlachetnych dążeń, wydało mi się zanadto wielkim i wzniosłym na nazwę zwykłej powieści. Mógł mnie ktoś takie posądzić, że ze względów czysto handlowych usiłuję wmówić w publiczność, iż treść książki ma jakiś związek z wojną.

Tego się jednak nie bardzo obawiałem. Na moją decyzję wpłynęły najsilniej nieuchwytnie podszepty tych pogańskich pozostałości grozy i lęku, które czają się jeszcze na dnie naszego starego człowieczeństwa. Zwycięstwo było ostatnim słowem, które napisałem w czasie pokoju. Był to ostatni literacki pomysł, który mi się nasunął, zanim drzwi świątyni Janusa <sup>1</sup> rozwarły się z hukiem, wstrząsając umysłami, sercami i sumieniami wszystkich ludzi na świecie. Nie należało lekceważyć takiego zbiegu okoliczności. Postanowiłem więc zostawić to słowo, wiedziony tą samą nadzieją, z którą jacyś prostoduszni obywatele dawnego Rzymu byliby przyjęli omen.

Druga rzecz, na którą chciałbym zwrócić uwagę, dotyczy istnienia (w powieści) osobnika nazwiskiem Schomberg.

Że uważam go za istotę prawdziwą, o tym mówić nie potrzebuję. Nikt nie przypuści, abym świadomie dawał lichy towar swoim czytelnikom. Schomberg jest dawnym

członkiem mojej kompanii. W *Lordzie Jimie*, sięgającym jeszcze roku 1899, występował jako bardzo podrzędna osobistość, a w jednej z nowel, wydanej w 1902 r., odegrał już rolę poważną. Tutaj ukazuje się w jeszcze większej roli, zgodnej z prawdą życiową (mam nadzieję) — a także i z własnym swoim charakterem. Tylko w tym wypadku wchodzi w grę jego głębokie namiętności i, co za tym idzie, groteskowa jego psychologia zostaje nareszcie uzupełniona.

Nie twierdzą wcale, że moja powieść daje całość germańskiej psychiki; ale jest to bezsprzecznie psychika Germanina. Wspominam o tym, aby podkreślić fakt, że Schomberg nie jest bynajmniej wcieleniem wrogich uczuć z ostatniej doby i że stanowi rezultat moich dawnych, głęboko ugruntowanych i poniekąd bezstronnych zapatrywań.

*J. C.*

## Przedmowa

W chwili, gdy zaczynam pisać przedmowę do *Zwycięstwa*, zdaję sobie przede wszystkim sprawę, jak bliską mi jest ta książka; bliską mi jest osobiście, bliską jest minionego nastroju, w którym ją pisałem, i wiąże się ściśle z różnymi moimi uczuciami, wywołanymi przez recenzje o pierwszym wydaniu, które ukazało się mniej więcej w rok po wybuchu wielkiej wojny. Powieść została ukończona w r. 1914, na długo zanim morderstwo austriackiego arcyksięcia rzuciło pierwszą nutę przestrogi światu, pełnemu już zwątpienia i lęku.

Wydana jednocześnie z powieścią bardzo krótka przedmowa, zachowana również w obecnym wydaniu, wyjaśnia dostatecznie, z jakim uczuciem zgodziłem się wówczas na wydrukowanie tej książki. Fakt, że ukazała się w Stanach Zjednoczonych już z początkiem roku, nie pozwalał zwlekać dłużej z wydaniem jej w Anglii. Pojawiła się w trzynastym miesiącu wojny, sumienie wyrzucało mi jednak, że popełniam rażącą niestosowność, rzucając strzęp wymyślonego dramatu w wir rzeczywistości tak zaiste tragicznej, lecz bardziej jeszcze okrutnej niż tragicznej i bardziej podniosłej niż okrutnej. Okropnym zarozumiałstwem wydała mi się myśl, że może się ktoś zająć czytaniem tych kartek; że znajdzie się ktoś taki w społeczeństwie, które wśród huków wielkich działań i w rozgwarze śmiałych słów, stwierdzających nieugiętą wiarę, musiało jednak czuć ostrze noża na gardle.

Niezmienny człowiek dziejowy umie przedziwnie zastosować się do wszelkich warunków przez siłę swej



wytrzymałości i zdolność oderwania się od zewnętrznego życia. Wydaje mi się, że gra losu jest za wielka w stosunku do lęków człowieka i zbyt tajemnicza, aby ją mógł zrozumieć. Gdyby trąba sądu ostatecznego zagrziała nagle wśród powszedniego dnia, muzyk przy swym pianinie nie przestałby grać sonaty Beethovena, a szewc trwałby do ostatka przy warsztacie, ożywiony niezamąconą wiarą w doniosłość swej pracy. I mieliby najzupełniejszą słusność. Bo po co mamy się wzruszać mściwą pobudką anioła, zbyt potężną dla naszych uszu i zbyt straszną dla naszych lęków? Toteż zdarza się czasem, że uderzy w nas błyskawica gniewu. Czytelnik nie przerwie czytania, jeśli książka będzie mu się podobać, a krytyk będzie w dalszym ciągu pisał recenzję z tą zdolnością do oderwania się od zewnętrznego świata, która wypływa może z poczucia nieskończonej naszej małości, a która jest mimo to jedyną cechą, zdającą się zbliżać człowieka do nieśmiertelnych bogów.

Ale jeśli katastrofa dorównywa w tajemniczości rządzącemu nam losowi, najlepszy nawet przedstawiciel ludzkiej rasy może stracić równowagę. Widzimy wyraźnie, że z przybyciem dystygowanego pana Jonesa, prostodusznego Ricarda i wiernego Pedra, Heyst, człowiek zupełnie od świata oderwany, traci wewnętrzne opanowanie, tę piękną postawę wobec nieuniknionej konieczności, postawę, która się zwie stoicyzmem. Wszystko jest kwestią wzajemnego stosunku zjawisk. Powinien był się znaleźć jakiś sposób wyjścia z sytuacji. A jednak nie było rady. W tym drobnym przykładzie igraszek losu Heyst czuje siłę ślepego przeznaczenia. A przy tym w swym pięknym oderwaniu się od życia Heyst zatracił zdolność samoobrony. Nie mówię tu o odwadze przeciwstawienia się faktom, moralnej czy fizycznej, ale o umiejętności wzięcia się do rzeczy, o sprężystości ducha i

odruchowym geście, które przychodzą bez namysłu i prowadzą człowieka do doskonałości w życiu, w sztuce, w zbrodni, w cnocie i jeśli o to chodzi, nawet w miłości. Refleksja jest wielkim wrogiem powodzenia. Muszę wyznać, że zwyczaj głębokich rozmyślań jest najszkodliwszym ze wszystkich zwyczajów wytworzonych przez cywilizowanego człowieka.

Ale nie chcę, aby mnie dotknęło choćby najłżejsze podejrzenie, że żartuję sobie z Aksela Heysta. Lubiłem go zawsze. Żywego człowieka, który stoi za nieskończone mi bliższą postacią z książki, pamiętam dobrze jako tajemniczego Szweda. Nie jestem zupełnie pewien, czy był, jak Heyst, baronem. Nie rościł nigdy pretensji do tego tytułu. Oderwanie jego od życia było zbyt wielkie, aby mógł żądać od ludzi ufności — w wielkich czy małych rzeczach. Nie chcę powiedzieć, gdzie go spotkałem; boję się, aby to nie wywarło na czytelnikach fałszywego wrażenia, ponieważ wyraźny rozdźwięk między człowiekiem a jego otoczeniem jest często okolicznością bardzo zwodną. Byliśmy czas jakiś w wielkiej przyjaźni i nie chciałem go narażać na nieprzyjemne podejrzenia; choć jestem pewien, że zachowywał się obojętnie wobec podejrzeń, tak jak zachowywał się obojętnie wobec wszystkich innych przykrości życia. Nie był, oczywiście, identyczny z Heystem; dał mi tylko — na podstawie krótkiej znajomości — fizyczne i moralne tło do mojego Heysta. Nasza znajomość trwała krótko bynajmniej nie z mojej winy, gdyż oczarowało mnie pełne wdzięku oderwanie tego człowieka od życia; w stosunku do siebie musiałem jednak uznać to oderwanie za przesadne. Heyst opuścił hotel, nie zostawiając po sobie żadnego śladu. Zaciekawilo mnie, dokąd wyjechał, ale teraz już wiem. Znikł mi z oczu tylko po to, aby zaplątać się w tę nieuniknioną przygodę, czekającą na niego na tym świecie, który uważał niezmiennie za

złowieszczy cień wirujący w blasku słońca. W ciągu lat przypominało mi go często wyrażone przez kogoś uczucie lub szczególne znaczenie jakiegoś zdania zasłyszanego przypadkiem, tak że przypisałem mu wiele słów, które padły z ust innych ludzi i wypłynęły z nastrojów mniej wzniosłych i mniej wzruszających.

Te same spostrzeżenia można zastosować *mutatis mutandis*<sup>2</sup> i do pana Jonesa, który powstał na podstawie znajomości znacznie pobieżniejszej. Pana Jonesa (czy jak tam się nazywał) nie uniosła ode mnie fala życia. Odwrócił się do mnie plecami i wyszedł z pokoju. Było to w roku 1875, w małym hoteliku na wyspie św. Tomasza w Indiach Zachodnich. Zastaliśmy go rozciągniętego na trzech krzesłach w pewne gorące popołudnie; leżał samotnie wśród głośnego brzęczenia much, a nieruchomość jego i trupi wygląd sprawiały, że to brzęczenie wydawało się dziwnie ponurym. Nasze wtargnięcie musiało mu się nie podobać, gdyż wstał nagle i wyszedł, zostawiając mnie pod niewypowiedziane dziwacznym wrażeniem swoich cienkich piszczeli. Jeden z mych towarzyszy powiedział, że ten człowiek jest najzawziętym graczem, jakiego spotkał w życiu. „Zawodowy szuler?” — zapytałem. „On jest zupełnie niemożliwy” — odrzekł mój towarzysz — „ale muszę przyznać, że do pewnych granic gra uczciwie”. Ciekaw jestem, dokąd sięgały te granice. Nigdy go już nie widziałem; zdaje mi się, że wyszedłszy z hotelu wsiadł na parowiec, który odpłynął w godzinę do innych portów w stronę Aspinallu. Charakterystyczną bezczelność pana Jonesa zaobserwowałem u innego osobnika o typie wręcz odmiennym. Nie chcę mówić, skąd wziętem sposób myślenia pana Jonesa, ponieważ nie lubię rzucać krzywdzących insynuacji.

Tak się złożyło, że w tym samym roku Ricardo — prototyp Ricarda — był moim współpasażerem na malutkim

i niezmiernie brudnym szkunerze, podczas czterodniowego przejazdu z jednej miejscowości do drugiej — w zatoce Meksykańskiej — mniejsza o nazwy tych miejscowości. Ów pasażer leżał prawie ciągle na pokładzie, niejako u moich stóp; od czasu do czasu podnosił się na łokciu i mówił o sobie bez końca — ale mówił właściwie nie do mnie i nawet nie w intencji, abym go wysłuchał (nie patrzył przed siebie, wzrok jego tkwił ciągle w pokładzie); wyglądało to, jak gdyby się zwierzał swemu zaufanemu diabłu. Niekiedy rzucał na mnie spojrzenie i poruszał dziwacznie sztywnymi wąsikami. Oczy miał zielone i do dziś dnia, gdy patrzę na kota, przypominają mi się dokładnie kontury tamtej twarzy. Nie zwierzył mi się, w jakim celu odbywa tę podróż i czym się zajmuje. Prawdę powiedziawszy, jedynym podróżnym, który byłby mógł mówić otwarcie o swej działalności i swych zamiarach, był bardzo zatabaczony i przemiły w rozmowie zakonnik, przeor klasztoru, podróżujący w towarzystwie młodzieńczego braciszka o jakiejś szczególnie okrutnej twarzy. W ciemnej i niewypowiedzianie wstrętnej kajucie tego szkunera jechał także z nami stary pan, wyciągnięty na wznak w koi, Hiszpan, właściciel licznych kufrów — ciężko chory, jak zapewniał Ricardo. Wyglądało na to, że Ricardo jest służącym czy domownikiem tego wiekowego, dystygowanego pana, który raz na samym początku podróży miał długą rozmowę szeptem z zakonnikiem, a potem już tylko wydawał słabe jęki, palił papierosy i wołał od czasu do czasu na Marcina głosem pełnym bólu. Wówczas ten, który w książce stał się Ricardem, schodził do wstrętnej i hałaśliwej dziury, przepadał tam tajemniczo i — wracając na pokład z nieprzeniknioną twarzą — milczał lub kontynuował ku memu zbudowaniu wykład o swym wewnętrznym stosunku do życia, ożywiony jaskrawymi przykładami najokrutniejszej treści. Czy chciał mnie przestraszyć? czy skusić? czy

zdziwić? czy wywołać mój zachwyt? Zdołał mnie tylko rozśmieszyć i wzbudzić we mnie niedowierzenie. Jak to się zdarza u łotrów, nie był wcale nudny. Zresztą naiwność moja była wówczas tak wielka, że nie mogłem wziąć jego filozofii na serio. Przez cały czas trzymał jedno ucho zwrócone w stronę kajuty, jak wierny sługa, ale mimo to miałem wrażenie, że w ten czy inny sposób narzucił się choremu dla swych własnych celów. Czytelnik nie zdziwi się więc, gdy mu powiem, że pewnego ranka *padrone* szkunera oznajmił mi bez szczególnego wzruszenia, iż „bogaty pan tam na dole” umarł; skonał w nocy. Nie przypominam sobie, aby mnie kiedy tak wzruszyła samotna śmierć człowieka zupełnie mi obcego. Zajrzałem przez luk świetlny i zobaczyłem, jak wierny Marcin obwiązywał sznurami skórzane kufry nieboszczyka, z którego całej postaci widać było tylko białą brodę i orli nos, majaczące w mrocznych głębiach ohydnej, dusznej koi.

Ponieważ wiatr ustał zupełnie w ciągu popołudnia i cisza trwała przez całą noc i groźny, płomienny dzień, zmarłego „bogatego pana” wypadło rzucić w morze o zachodzie słońca, choć właściwie było już widać cel naszej podróży — niskie, zapowietrzane wybrzeże obramowane linią mangrowii<sup>3</sup>. Zacny przeor rzekł do mnie z głębokim współczuciem: „Ten biedak zostawił młodą córkę”. Nie wiem, kto miał się nią zaopiekować, ale widziałem, jak wierny Marcin przewoził bardzo troskliwie kufry ze statku na brzeg, zanim jeszcze zdążyłem wylądować. Byłbym się może zajął na chwilę śledzeniem tego tak wylanego<sup>4</sup> człowieka, ale zaprzętały mnie własne bardzo naglące sprawy, które skomplikowały się w końcu przez trzęsienie ziemi — tak iż zabrakło mi czasu dla Ricarda. Nie potrzebuję mówić czytelnikowi, że go jednak nie zapomniałem.

Mój kontakt z wiernym Pedrem był znacznie krótszy, a obserwację nad nim przeprowadziłem mniej dokładnie, w warunkach bez porównania groźniejszych. Przerwało mi tę obserwację nagłe natchnienie, aby usunąć się z drogi obserwowanego obiektu. Działo się to w szałasie z mat rozpiętych na tykach obok ścieżki. Wszedłem tam, aby poprosić o butelkę limoniady i do dziś dnia nie mam najmniejszego pojęcia, jaki szczegół mojej powierzchowności czy mego zachowania wzbudził straszliwy gniew Pedra. Ten gniew stał się dla mnie widocznym w niespełna dwie minuty od chwili, gdy moje oczy pierwszy raz na Pedrze spoczęły i, choć niezmiernie byłem zdziwiony, nie pozostałem oczywiście na miejscu, aby zbadać powód owego gniewu. Zwiąłem najbliższą drogą — przez ścianę. Ta bestialska zjawa i pewien olbrzymi Murzyn, z którym zetknąłem się na Haiti zaledwie w parę miesięcy potem — oba te spotkania ustaliły raz na zawsze moje wyobrażenie o ślepej, rozjuszzonej, bezrozumnej wściekłości. Murzyn śnił mi się potem latami. Pedro nigdy. Wrażenie było mniej silne. Za prędko zszedłem Pedrowi z drogi.

Wydaje mi się naturalnym, że ta trójka, schowana w jakimś zakamarku mej pamięci, wyszła nagle na światło dzienne; tak naturalnym, iż nie usprawiedliwiam się wcale z egzystencji tych trzech ludzi. Tkwili w moich wspomnieniach i musieli się stamtąd wydostać; jest to dostateczne usprawiedliwienie dla powieściopisarza, który zabrał się do swego rzemiosła bez przygotowania, bez powziętego z góry zamiaru i bez żadnej innej moralnej intencji poza tą, która przenika całokształt naszego świata.

Ponieważ ta przedmowa dotyczy przede wszystkim pochodzenia osób występujących w powieści i moich z nimi stosunków, muszę zająć się także Leną. Gdybym o niej zamilczał, wyglądałoby to na lekceważenie, a nic nie jest mi

bardziej obcym niż lekceważący stosunek do Leny. Jeśli ze wszystkich osób zaplątanych w „tajemnicę Samburanu” przestawałem najdłużej z Heystem (lub tym, którego Heystem nazywam), to dziewczynie nazwanej Leną przypatrywałem się najdłużej, z najbardziej wyteżoną uwagą. Ta uwaga wypływała z lenistwa, do którego mam talent wrodzony. Pewnego wieczoru zawędrowałem do kawiarni w mieście nie leżącym pod zwrotnikiem, lecz na południu Francji. W sali pełno było tytoniowego dymu, rozgwaru, klekotu domina i dźwięków piskliwej muzyki. Orkiestra była chyba mniejsza od tej, która się popisowała w hali Schomberga i wyglądała bardziej na zespół rodzinny niż na zebraną przygodnie kapelę; muszę wyznać, że wszystko razem robiło wrażenie znacznie przyzwoitsze od muzycznej antrepryzy<sup>5</sup> Zangiaco. Było w tym także mniej pretensjonalności, a nastrój panował bardziej domowy, że się tak wyrażę, i poufały, ponieważ w przerwach, gdy wszystkie muzykantki opuszczały estradę, jedna z nich chodziła wśród marmurowych stolików, zbierając sousy<sup>6</sup> i franki w pogięte cynowe naczynie, przypominające kształtem sosjerkę. Ową muzykantką była młoda dziewczyna. Mam teraz wrażenie, że obojętność, z jaką wypełniła swój obowiązek, była równie wielką, a może jeszcze większą, niż wyniosłość Heysta w stosunku do wszelkich poniżeń, na które rozum ludzki jest narażony w drodze przez życie. Chodziła od stołu do stołu milcząco, z szeroko rozwartymi oczyma, jak lunatyczka, i potrząsała tylko z lekka pieniędzmi, aby zwrócić na siebie uwagę. Rozdział morski mojego życia dawno już się był wtedy skończył, ale trudno odrzucić zupełnie cechy charakteryzujące nas przez pół żywota, toteż wpuściłem do sosjerki pięciofrankową monetę, niby marynarz na urlopie. Lunatyczka odwróciła głowę, aby na mnie spojrzeć i rzekła: *Merci, monsieur*<sup>7</sup> — tonem, w którym nie było

wdzięczności, tylko zdziwienie. Musiałem mieć wówczas doprawdy wolną głowę, skoro to wystarczyło, bym zauważył, że głos dziewczyny jest czarujący. Gdy muzykantki wróciły na miejsca, przesunąłem trochę krzesło, aby brodaty mężczyzna, który dyrygował orkiestrą, nie zasłaniał mi tej dziewczyny. O ile mi się zdaje, mógł to być jej ojciec, ale prawdziwą jego misją w życiu było stać się prototypem Zangiacoma w *Zwycięstwie*. Zdobywszy dobry punkt obserwacyjny, podczas drugiej części programu patrzyłem naturalnie dalej (z lenistwa) na dziewczynę. Zarys jej ciemnej główki pochylonej nad skrzypcami przykuwał oczy, a gdy wypoczywała w przerwach niezmiernie długiego programu, wyglądała w swej białej sukni, z opalonymi rękami złożonymi na kolanach, jak żywy obraz marzycielskiej naiwności. Podstarzała złoźnica przy pianinie mogła być jej matką, choć nie zauważyłem między nimi najłżejszego podobieństwa. Ze stosunku, jaki je łączył, rzecz stwierdziłem na pewno — owo okrutne uszczyknięcie w ramię. Jestem pewien, że to widziałem! Pomylić się nie mogłem. Znadto byłem rozleniwiony, aby wymyślić ni stąd ni zowąd takie okrucieństwo. Może to był i żart, ale dziewczyna zerwała się jak oparzona. Może to był i żart. Lecz widziałem dobrze, jak „rozmarzona naiwność” rozcierała delikatnie bolące miejsce, idąc gęsiego za innymi muzykantkami środkowym przejściem wśród marmurowych stolików — w rozgwarze głosów, w klekocie domina, w niebieskiej atmosferze tytoniowego dymu. O ile mi się zdaje, ta orkiestra opuściła miasto nazajutrz.

A może tylko przeniosła się do wielkiej kawiarni po drugiej stronie *Place de la Comédie*. To bardzo możliwe. Nie przeszedłem jednak przez plac, aby się o tym przekonać. Moje rozleniwienie właśnie nadało szczególny urok dziewczynie i nie chciałem zniweczyć tego uroku



przez jakiś niepotrzebny wysiłek. Nadczułość moja w owym rozleniwionym nastroju utrwałała na tak długo to wrażenie, że gdy nadeszła chwila spotkania dziewczyny z Heystem, czułem iż Lena sprosta po bohatersku wszystkim wymaganiom ryzykownej. i niepewnej przyszłości. Tak byłem o tym przeświadczony, że pozwoliłem jej uciec z Heystem — nie bez wzruszenia, ale z pewnością bez złych przeczuć. I zaiste, wobec triumfalnego końca Leny, cóż więcej byłbym mógł zrobić dla jej rehabilitacji i dla jej szczęścia?

1920.

# Część I

## I

W naszym oświeconym stuleciu każdy uczeń wie o tym, że między węglem a diamentami zachodzi bardzo bliskie pokrewieństwo chemiczne. Przypuszczam, że właśnie dlatego niektórzy nazywają węgiel „czarnymi diamentami”. Oba te minerały stanowią bogactwo, ale węgiel daleko trudniej przewozić niż diamenty. Z tego punktu widzenia musimy stwierdzić w węglu bardzo przykry brak koncentracji. Gdyby tak dało się schować kopalnię węgla do kieszeni od kamizelki! Ale to niemożliwe. Poza tym dziwny jakiś urok ma dla nas węgiel — najcenniejszy z towarów naszego wieku — tego wieku, w którym obozujemy jak oszołomieni podróżni we wspaniałym, gwarnym hotelu. Otóż sądzę, że dwa powyższe względy, jeden praktyczny, a drugi raczej mistyczny, powstrzymały od wyjazdu Heysta — Aksela Heysta.

Podzwrotnikowa Spółka Węglowa została zlikwidowana. Świat finansów jest tajemniczą krainą, w której może się zdarzyć ten niewiarogodny fakt, że stan lotny poprzedza stan płynny. Najpierw ulatnia się kapitał, a potem następuje stan płynny — czyli likwidacja interesów. Są to zjawiska przeciwne zasadom fizyki — i one to właśnie spowodowały przewlekłą beczynność Heysta, z powodu której braliśmy go często na języki, w dość zresztą przyjazny sposób. Bezwładna jednostka nie wyrządza nikomu nic złego, nie usposabia wrogo — zasługuje zaledwie na drwiny. Zdarza się niekiedy, że i ta bezwładność jest zawadą, ale o Akselu

Heyście nie można było tego powiedzieć. Nie przeszkadzał nikomu — zupełnie jak gdyby tkwił na najwyższym szczycie Himalajów i nawet w pewnym znaczeniu był równie jak ten szczyt widoczny. W tej okolicy świata każdy o nim słyszał i wiedział, że mieszka na swojej wysepce. Wyspa jest jakby szczytem góry. Aksel Heyst tkwił na niej nieruchomo, a zamiast nieuchwytnej, przejrzystej i burzliwej toni powietrza, rozplywającej się w bezkresie, otaczało go ciepłe, płytkie morze, spokojna odnoga wielkich wód, które obejmują wszystek ląd naszego globu. Najczęstszymi gośćmi Heysta były cienie — cienie chmur, ożywiające ponurą monotonię bezdusznego podzwrotnikowego słońca. Najbliższym jego sąsiadem — mówię tu o rzeczach ujawniających jakieśkolwiek ożywienie — był leniwy wulkan, który dymił z lekka dzień cały tuż nad północnym horyzontem, a nocami rozniecał wśród jasnych gwiazd tępy, czerwony blask, co rozżarzał się i przygasał kurczowo jak koniec olbrzymiego cygara, którym raz po raz zaciąga się ktoś w ciemnościach. Aksel Heyst palił także, i gdy wychodził z cygarem na werandę przed pójściem na spoczynek, żarzył się przed nim w mroku krążek takiej samej wielkości jak ten drugi, oddalony o wiele, wiele mil.

Wulkan dotrzymywał mu niejako towarzystwa wśród ciemności, które bywały niekiedy tak gęste, że — zdawało się — nie przepuszczają nawet najłżejszego wietrzyka. Zresztą rzadko kiedy zjawiał się powiew, zdolny utrzymać piórko w powietrzu. Prawie co wieczór przez cały rok Heyst byłby mógł siadywać na dworze przy niczym nie osłoniętej świecy i czytać którąkolwiek z książek pozostałych po zmarłym ojcu. A był ich zapas niemały. Lecz Heyst nie robił tego nigdy; prawdopodobnie bał się moskitów. I nigdy cisza nie natchnęła go myślą, by zwrócić się z jakąś uwagą do kolegi-ognika, żarzącego się nad wulkanem. Nie był przecież wariatem. Dziwak bo dziwak, to prawda, można to

było powiedzieć i mówiono tak rzeczywiście; ale każdy przyzna, że między tymi dwoma pojęciami jest jeszcze cała przepaść.

W księżycowe noce milczenie obejmujące Samburan (zwany na mapie Wyspą Okrągłą) miało w sobie coś olśniewającego. Dom i najbliższe otoczenie, zalane zimnym światłem, wyglądały jakby jakaś opuszczona osada pochłonięta przez dżunglę. Heyst patrzył na niewyraźne zarysy dachów nad niską roślinnością, na łamane cienie bambusowych płotów wśród połyskliwej, wysokiej trawy, na szmat zarośniętej drogi, biegnącej ukośnie przez poszarpany gąszcz ku brzegowi, oddalonemu o paręset jardów; widać tam było ciemny pomost i coś na kształt kopca, czarnego od strony cienia jak atrament. Ale przede wszystkim rzucała się w oczy olbrzymia czarna tablica umieszczona na dwóch słupach; gdy księżyc przewędrował na drugą stronę, ukazywały się na niej Heystowi białe litery P. S. W., wysokości przynajmniej dwóch stóp. Były to inicjały Podzwrotnikowej Spółki Węglowej, należącej do chlebobawców Heysta, a ściślej mówiąc, do byłych jego chlebobawców.

Zgodnie z tajnikami świata finansów, sprzecznymi naturze, kapitał P. S. W. ulotnił się w przeciągu dwóch lat i towarzystwo przeszło w „stan płynny” likwidacji — nie dobrowolnej, sądzę, lecz przymusowej. W tym procesie nie było jednak nic gwałtownego. Dokonywał się powoli; i podczas gdy likwidacja — w Londynie i Amsterdamie — posuwała się zółwim krokiem, Aksel Heyst, wymieniony w prospekcie jako „dyrektor podzwrotnikowy”, pozostawał na swoim stanowisku w Samburanie, stacji węglowej, oznaczonej numerem pierwszym.

Ale Samburan był nie tylko stacją węglową; znajdowała się tam również i kopalnia. Pokłady węgla ciągnęły się z boczem wzgórz o niecałe pięćset jardów od koślawego

pomostu i imponującej, czarnej tablicy. Celem spółki było owładnięcie wszystkimi kopalniami węgla na wyspach podzwrotnikowych i eksploatacja ich dla miejscowego handlu. A pokładów było bez liku. Heyst odkrył je w tych okolicach, natknąwszy się na nie podczas swych bezcelowych wędrówek; że zaś prowadził zawsze ożywioną korespondencję, rozpisał się o nich szeroko do przyjaciół w Europie. Tak przynajmniej opowiadano.

Nie sądziliśmy, aby Heyst marzył o bogactwach — a w każdym razie nie pragnął ich dla siebie. Zdaje się, że najwięcej obchodziło go to, co nazywał „dążeniem naprzód”, myśląc zapewne o organizacji świata w ogóle. Więcej niż sto osób spośród mieszkańców wysp słyszało jak mówił, że „cała okolica zrobiła wielki krok naprzód”. Zamaszty ruch ręką, towarzyszący tym słowom, uzmysławiał, że tropikalne obszary zmuszone są do posuwania się naprzód. W związku z wytwornym obejściem Heysta było to bardzo przekonujące, a w każdym razie zamykało ludziom usta — przynajmniej na jakiś czas. Nikt nie miał ochoty zaprzeczyć, gdy Heyst przemawiał tym tonem. Jego przejęcie się sprawą węglową nie przeszkadzało nikomu. Nie groziło bynajmniej niebezpieczeństwo, aby ktoś mógł wziąć na serio marzenia o węglu podzwrotnikowym, po cóż więc było sprawiać mu przykrość?

Tak rozumowali różni ludzie w solidnych biurach handlowych, które Heyst odwiedzał, przybywszy ze wschodu z listami polecającymi i czekami wystawionymi na skromne sumy. Działo się to jeszcze na kilka lat przedtem, nim pokłady węgla zaczęły się piętrzyć w żartobliwych a wykwintnych wywodach Heysta. Od samego początku trudno było ustalić, kim on jest rzeczywiście. Nie był podróżnikiem. Podróżnik wyjeżdża i wraca, dąży do jakiegoś określonego miejsca. Heyst nie wyjeżdżał.

Spotkałem kiedyś pewnego człowieka — dyrektora filii Stowarzyszenia Banków Wschodnich w Malakce — do którego Heyst nagle wykrzyknął, bez związku z jakąkolwiek poprzednią rozmową (było to w klubie, w pokoju bilardowym):

— Jestem oczarowany tymi wyspami!

Wyrwał się z tym ni stąd ni zowąd, *à propos de bottes*<sup>8</sup>, jak mówią Francuzi, w chwili, gdy pocierał kredą swój kij. Może doprawdy ktoś urok na niego rzucił? Więcej jest czarów na świecie, niż śniło się przeciętnym czarownikom.

Jednym słowem koło o promieniu ośmiuset mil, zakreślone wokoło pewnego punktu na północnym Borneo, było dla Heysta kołem zaczarowanym. Sięgało do Manili, gdzie zjawiał się niekiedy; dotykało Sajgonu, gdzie go raz jeden widziano. Może były to wysiłki Heysta, aby się spod czaru wyzwolić? W takim razie nie odniosły zamierzonego skutku. Czar był widocznie nie do przewyciężenia. Dyrektor, który usłyszał ów wykrzyk zachwytu Heysta, był tak dalece pod wrażeniem jego zapału, uniesienia — czy jak to nazwać — a może i dziwaczności jego słów, że opowiadał o tym niejednemu.

— Dziwny człowiek z tego Szweda — dodawał jako jedyny komentarz. Z tej relacji wzięła początek nazwa „zaczarowany Heyst”, którą przyczepiono naszemu bohaterowi.

Miał także i inne przezwiska. Za swoich młodych lat — długo przedtem, nim zaczęła go zdobić łysina — udał się raz z listem polecającym do pana Tesmana ze spółki „Bracia Tesman” — pierwszorzędnej firmy w Sourabaya. Pan Tesman był uprzejmym, dobrodusznym staruszkiem i nie bardzo wiedział, co z gościem począć. Oświadczył, że pragnie uczynić jego pobyt na wyspach jak najprzyjemniejszym, że spółka gotowa jest popierać jego zamierzenia itd., po czym przyjął podziękowania Heysta i

prowadził dalej zwykłą w tych okolicznościach rozmowę, dopytując się z wolna ojcowskim tonem:

— A więc najbardziej interesuje się pan — —

— Faktami — wtrącił Heyst zwykłym swoim uprzejmym tonem. — Nie ma nic ciekawszego nad fakty. Nagie fakty i tylko fakty, panie Tesman.

Nie wiem, czy stary Tesman zgadzał się z nim, czy nie, ale musiał o tym opowiadać, bo na pewien czas Heyst zyskał przezwisko „Nagie fakty”. Miał już takie szczególne szczęście, że własne powiedzenia przyczepiały się do niego, stając się częścią nazwiska. Przez jakiś czas potem włączył się po morzu Jawajskim na któryś z handlowych szkunerów Tesmana, a wreszcie znikł na arabskim statku w kierunku Nowej Gwinei. Pozostał bardzo długo w tej odległej części zaczarowanego koła i prawie już o nim zapomniano, gdy zjawił się znów na tubylczym statku, pełnym włóczęgów z Goram. Spalony był na czarno od słońca i bardzo chudy; włosy mocno mu się przerzedziły. Pod pachą trzymał tekę ze szkicami, które chętnie pokazywał, ale poza tym bardzo był małomówny. Opowiadał tylko, że spędził czas „bardzo przyjemnie”. Człowiek, który jedzie dla rozrywki na Nową Gwineę — no, no!

W kilka lat później, gdy znikły już z jego twarzy ostatnie ślady młodości, a reszta włosów z ciemienia, gdy rudozłote, poziome wąsy rozrosły się okazale, pewien biały człowiek o złej reputacji obdarzył go nowym epitetem. Postawił trzęsącą się ręką wysmukły, pusty kieliszek zapłacony przez Heysta i wyrzekł z mądrością pełną rozwagi, niedostępną dla przeciętnych ludzi, pijących tylko wodę:

— Heyst jest dżentelmenem co się zowie. Co się zowie! Ale to ut — uto — utopista.

Heyst opuścił właśnie przed chwilą przybytek publicznego pokrępania się, gdzie to oświadczenie zostało wygłoszone. Czyżby był doprawdy utopistą? Słowo daję, raz

tylko słyszałem, jak wypowiedział zdanie, które mogło zdradzać pewną skłonność w tym kierunku. Było to zaproszenie, wystosowane właśnie do starego McNaba. Heyst zwrócił się do niego z tą wytworną uprzejmością w pozie, ruchu i głosie, która stanowiła jego rys charakterystyczny, i rzekł z żartobliwym wykwintem:

— Niechże pan pójdzie z nami ugasić pragnienie, panie McNab!

Otóż to właśnie. Człowiek, który mógł proponować — choćby żartem — staremu McNabowi, aby ugasił pragnienie, taki człowiek musiał być doprawdy utopistą, goniącym za chimerami; albowiem bezpośrednią ironią Heyst nigdy nie szafował. Może właśnie dlatego lubiano go ogólnie. W tym okresie swego życia był w pełni fizycznego rozwoju; okazała jego, marsowa postać o łysej głowie i długich wąsach przypominała portrety Karola XII<sup>9</sup>, awanturniczej pamięci. Mimo to nic nie upoważniało do przypuszczeń, aby Heyst był pod jakimkolwiek względem człowiekiem wojowniczym.

## II

Mniej więcej w tym samym czasie Heyst zawarł spółkę z Morrisonem na warunkach, o których właściwie nikt nic nie wiedział. Jedni mówili, że Heyst jest współnikiem Morrisona, inni — że przebywa u niego w charakterze płatnego gościa, ale rzeczywistość była daleko bardziej zawiła. Pewnego dnia Heyst znalazł się w Timorze. Czemu właśnie w Timorze, a nie gdziekolwiek indziej, nikt nie mógłby tego powiedzieć. Otóż Heyst włóczył się w pobliżu Delii, tego siedliska zarazy, i poszukiwał zapewne jakichś nieodkrytych jeszcze faktów, gdy natknął się na ulicy na Morrisona, który był również — po swojemu — człowiekiem „zaczarowanym”. Gdy wspomiano Morrisonowi o powrocie



do kraju — a pochodził z Dorsetshire — wstrząsał się cały. Mówił, że w Anglii ciemno i wilgotno, że człowiek żyje tam, jakby tkwił głową i ramionami w mokrym worku z juty <sup>10</sup>. Ale to był tylko taki przesadny sposób wyrażania się. Morrison należał do „naszej paczki”. Był właścicielem i kapitanem handlowego brygu Capricorn <sup>11</sup> i podobno radził sobie z nim doskonale, ale miał jedną wadę: za wiele altruizmu. Ubóstwiali go mieszkańcy licznych zapadłych wiosek, leżących nad posępными strumieniami i nieznanymi zatokami, gdzie prowadził „handel zamienny”. Przepływał często niezmiernie niebezpieczne przesmyki, aby dotrzeć do nędznej osady i znaleźć tam zgłodniałą ludność, domagającą się ryżu; co się zaś tyczy „handlu zamiennego”, to produkty z całej owej osady nie byłyby napełniły podróźnej torebki Morrisona. Nie zważając na to, wyładowywał ryż wśród ogólnego rozradowania, tłumaczył ludziom, że to zaliczka, że są teraz jego dłużnikami, wygłaszał kazanie o energii i pracowitości, wciągał szczegółowo dług do notatnika, który zawsze nosił przy sobie — i na tym kończyła się cała transakcja. Nie wiem, czy Morrison zdawał sobie z tego sprawę, ale mieszkańcy osady nie mieli pod tym względem żadnych wątpliwości. Skoro tylko z nadbrzeżnej wsi dojrzano, że bryg się zbliża, rozpoczynało się wielkie bicie w gongi, wywieszano wszystkie flagi, dziewczęta przystrajały włosy kwiatami, tłum tłoczył się na wybrzeżu, a promieniejący Morrison patrzył z rozkoszą przez monokl <sup>12</sup> na to radosne podniecenie. Wzrostu był wysokiego, twarz miał chudą i gładko wygoloną; wyglądał na adwokata, który zerwał z palestrą.

Przestrzegaliśmy go często:

— Nie zobaczysz nigdy żadnej ze swoich zaliczek, jeśli będziesz tak postępował!

Robił przebiegłą minę.

— Nie bójcie się, już ja ich którego dnia przycisnę! Ale, ale — dodawał, wyciągając swój nieodłączny notatnik — przypomniałem sobie taką a taką wieś. Wcale nieźle im się teraz powodzi; wezmę się zaraz do nich na początek.

I zapisywał w notatniku srogą uwagę:

— Wycisnąć wszystko z takiej a takiej wsi za pierwszą bytnością.

Potem wsuwał ołówek z powrotem i trzaskał gumką o notatnik z wyrazem nieugiętej stanowczości; tylko że owo „wyciskanie” nigdy nie następowało. Niektórzy szemrali z tego powodu, twierdząc, że Morrison dezorganizuje handel. Może i było tak rzeczywiście — ale w stopniu bardzo nieznacznym. Większość osad, z którymi handlował, nieznana była nie tylko geografii, ale nawet i owej specjalnej wiedzy kupieckiej, którą przekazuje się ustnie, bez ostentacji, i która składa się na zasoby tajnych miejscowych wiadomości. Niektórzy dawali do zrozumienia, że Morrison ma żonę w każdej z owych wiosek, ale większość z nas odrzucała z oburzeniem te insynuacje. Był to człowiek prawdziwie ludzki i raczej asceta.

Kiedy Heyst spotkał go w Delii, szedł ulicą z monoklem zarzuconym na ramię, z głową spuszczoną, a beznadziejny jego wygląd przypominał jednego z tych niepoprawnych włóczęgów, których widuje się po drogach, jak wędrują od przytułku do przytułku. Na okrzyk Heysta zwrócił ku niemu twarz o dzikim, umęczonym wyrazie. Był zaiste w ciężkim położeniu. Przed tygodniem zawiął do Delii i władze portugalskie, pod pozorem jakiejś niedokładności w papierach, nałożyły na niego karę pieniężną i wzięły bryg w zastaw.

Morrison nie miał nigdy w ręku zbywającej gotówki. Przy jego handlowym systemie posiadanie kapitałów byłoby rzeczą bardzo dziwną; za wszystkie swoje należności, zapisane w notatniku, nie byłby mógł podnieść jednego

milreja<sup>13</sup> — nie mówiąc już o szylingu<sup>14</sup>. Urzędnicy portugalscy prosili go, aby się nie martwił. Dali mu tydzień czasu do wystarania się o pieniądze, po czym bryg miał być sprzedany na licytacji. Ruina stała przed Morrisonem. Gdy Heyst zawołał na niego w swój zwykły, uprzejmy sposób, tydzień dobiegał już końca.

Heyst przeszedł na drugą stronę ulicy i rzekł z lekkim ukłonem — niby księżę, zwracający się w prywatnej sprawie do drugiego władcy:

— Co za miła niespodzianka! Czy nie ma pan nic przeciwko temu, abyśmy napili się czegoś w tej tam ohydnej winiarni? Słońce zanadto pali, niepodobna rozmawiać na ulicy.

Wynędzniały Morrison wszedł posłusznie za Heystem do ciemnej, chłodnej lepianki, którą pogardziłby w każdej innej chwili. Był w rozpacz. Nie wiedział po prostu, co się z nim dzieje; równie łatwo można go było zaprowadzić nad brzeg przepaści. Siadł jak automat. Nie wyrzekł ani słowa, ale, zobaczywszy przed sobą kieliszek cierpkiego, czerwonego wina, wychylił go duszkiem. Tymczasem Heyst, grzeczny i czujny, siadł naprzeciw niego.

— Obawiam się, że pan ma atak febry — rzekł przyjaźnie. Język biednego Morrisona rozwiązał się nareszcie.

— Atak febry! — zawołał. — Bodajbym miał febrę, bodajbym miał zarazę, to są przynajmniej choroby! Można sobie z nimi poradzić. Ale ja jestem zamordowany. Jestem zamordowany przez tych Portugalczyków. Ta banda zmogła mnie wreszcie. Pojutrze będę musiał poderżnąć sobie gardło.

W odpowiedzi na ten namiętny wybuch Heyst podniósł z lekka brwi, wyrażając zdziwienie z dyskrecją, która by była na miejscu w salonie. Rozpaczliwy wysiłek, z jakim Morrison panował nad sobą, załamał się w końcu. Przed spotkaniem Heysta wędrował z wyschniętym gardłem

wśród lepianek z błota przez tę nędzną miejscinę i milczał, nie mając żywej duszy, do której by mógł się zwrócić w swej niedoli. Rozpaczliwe myśli doprowadzały go wprost do szaleństwa. Nagle natknął się na białego człowieka — białego dosłownie i w przenośni, gdyż Morrison nie uznawał, aby portugalscy urzędnicy należeli do rasy białej — i dał się unieść gwałtownemu wybuchowi otwartości, który przyniósł mu ulgę. Wsparty łokciami o stół, mówił ochrypniętym głosem, z oczyma krwią nabiegłymi; daszek okrągłego, plecionego hełmu ocieniał jego twarz, nieogoloną i wybladłą — Białe ubranie, którego nie zdejmował od trzech dni, było brudne. Wyglądał już jak człowiek zgubiony bez ratunku. Jego widok raził Heysta, który jednak nie dał tego poznać po sobie, pokrywając wrażenie swoim wytwornym spokojem. Nie zdradzał nic ponad uprzejme zainteresowanie, które winien okazać człowiek, słuchający zwierzeń drugiego człowieka, a że taki sposób bycia udziela się zwykle otoczeniu, więc i Morrison opanował się i kończył opowiadanie w tonie konwersacyjnym, jak światowiec.

— To wstrętny spisek. Ale jestem, niestety, zupełnie bezsilny. Ten łotr Cousinho — pan wie, Andrzej — już od lat ostrzył sobie zęby na mój statek. Nigdy bym go nie sprzedał, oczywiście. To nie tylko cały mój majątek, ale i moje życie. No więc — we dwóch z naczelnikiem komory celnej uknuli ten miły spisek. Cała licytacja będzie naturalnie tylko komedią. Nie ma tu nikogo, kto by mógł podbić cenę. Bryg dostanie mu się za półdarmo — a nawet prawie zupełnie za darmo. Pan mieszka tu na wyspach już od szeregu lat. Zna pan nas wszystkich; wie pan, jak żyjemy. A teraz będzie pan miał sposobność przekonać się, jak niektórzy z nas umierają. Bo to dla mnie śmierć. Nie mogę się już ludzić. Czy pan to rozumie?

Morrison panował nad sobą, ale czuć było ostateczny wysiłek w jego sztucznym spokoju. Heyst zaczął mówić, że rozumie doskonale „wszystkie okoliczności tego fatalnego wypadku”, gdy Morrison szarpnął się nagie:

— Słowo daję, nie mam pojęcia, po co panu mówię to wszystko. Widocznie spotkanie z prawdziwym białym człowiekiem tak na mnie podziało; nie potrafiłem ukryć swoich kłopotów. Trudno mi to będzie wyrazić, ale kiedy panu już tyle nagadałem, mogę równie dobrze powiedzieć więcej. Niech pan posłucha. Dziś rano padłem w kajucie na kolana i modliłem się o ratunek. Padłem na kolana!

— Czy pan jest wierzący? — spytał Heyst z wyraźnym odcieniem szacunku.

— Pewnie, że nie jestem niedowiarkiem.

W natychmiastowej odpowiedzi Morrisona zabrzmiała lekka wymówka. Rozmowa się urwała; Morrison badał zapewne swoje sumienie, a Heyst zachował wyraz niezachwianego, uprzejmego zainteresowania.

— Modliłem się jak dziecko, oczywiście. Wierzę w modlitwę dziecka — no i kobiety, ale przypuszczam, że Bóg wymaga od mężczyzn więcej odpowiedzialności. Nie uznaję mężczyzn zanudzających Wszechmogącego swymi głupimi kłopotami. Uważam to za bezczelność. A jednak — dzisiaj rano... doprawdy, nie wyrzodziłem nigdy świadomie krzywdy żadnemu Bożemu stworzeniu... dzisiaj rano modliłem się. Taki nagły poryw — i padłem na kolana. Z tego pan widzi —

Patrzyli sobie w oczy z powagą. Biedny Morrison dodał ze zniechęceniem:

— Tylko że to jest takie miejsce zapomniane od Boga.

Heyst zapytał oględnie, czy nie mógłby się dowiedzieć, jak wysoką jest suma, za którą wzięto bryg w zastaw.

Morrison stłumił przekleństwo i wymienił krótko sumę, która była tak niewielka, że każdy inny na miejscu Heysta

byłby krzyknął ze zdziwienia. A nawet i Heyst ledwie zdołał powściągnąć niedowierzanie w głosie, gdy pytał uprzejmie, czy doprawdy Morrison nie rozporządza taką ilością pieniędzy.

Tak było rzeczywiście. Morrison miał ze sobą tylko trochę angielskiego złota, wszystkiego kilka funtów. Całą gotówkę zostawił u Tesmanów w Samarangu na wyrównanie rachunków, których termin płatności przypadał w czasie jego podróży. Oczywiście pieniądze te były dla niego równie niedostępne, jak gdyby się znajdowały na dnie piekielnej otchłani. Mówił to wszystko szorstkim tonem. Spoglądał z nagłą niechęcią na szlachetne czoło, wielkie, marsowe wąsy i zmęczone oczy człowieka siedzącego naprzeciwko. Któż to jest u diabła? I po cóż on, Morrison, siedzi tu i rozprawia o tym wszystkim? Wiedział o Heystcie tyle, co każdy z nas, handlujących na obszarze archipelagu. Gdyby Szwed wstał nagle i dał mu pięścią w nos, nie byłoby go to bardziej zdumiało od faktu, który teraz nastąpił: oto ten obcy człowiek, ten nieokreślony włóczęga rzekł z lekkim ukłonem:

— Jeżeli tylko o to chodzi, będę bardzo szczęśliwy, gdy pan mi pozwoli sobie usłużyć.

Morrison nie zrozumiał. Był to jeden z tych faktów, które się nigdy nie zdarzają — fakt niesłychany. Nie zdawał sobie sprawy, co znaczą właściwie słowa Heysta, póki ten nie rzekł wyraźnie:

— Mogę panu tę sumę pożyczyć.

— Pan ma te pieniądze? — wyszeptał Morrison — to znaczy tutaj, w kieszeni?

— Tak, mam je przy sobie. Miło mi, że mogą się panu przydać.

Morrison wytrzeszczył oczy i z otwartymi ustami jął wodzić ręką po ramieniu, szukając sznurka od monokla, który wisiał gdzieś na plecach. Znalazł go wreszcie i